

665

W ciągu czterech kolejnych poniedziałkowych wieczorów Teatr Telewizji prezentował nam spektakl będący adaptacją znanej powieści Jarosława Iwaszkiewicza, a przygotowany dla potrzeb małego ekranu przez tak renomowanego reżysera i adaptatora, jak Lidia Zamkow. Oczekiwaliśmy na tę telewizyjną „Sławę i chwałę” z dużą niecierpliwością i z niemiłym zainteresowaniem. Czy i w jakim stopniu spełniła ona nasze oczekiwania? Oto trzy głosy będące próbą odpowiedzi na to właśnie pytanie.

# „SŁAWA I CHWAŁA”

## DLACZEGO NIE SERIAL?

JEST zawsze wiekiem ryzykiem podejmowanie próby adaptowania dla sceny lub ekranu dzieł epickich, rozległych, wielowątkowych, charakteryzujących się szerokim zasięgiem czasowym, tematycznym i wielością prezentowanych postaci. Bardzo dużo takich właśnie powieści ponosiło absolutną klęskę w zetknięciu z widzem filmowym czy teatralnym, a jeśli takiej klęski nie ponosiła np. „Saga rodu Forsytów”, to tylko dzięki temu, że zrobiono z niej wieloepickowy serial, odwzorowujący bardzo wiernie treść rodzinnej sagi Galsworthy'ego, pozwalający na bliski kontakt z bohaterami i na zrozumienie bez trudu wielu najdrobniejszych i najintymniejszych ich przeżyć na tle określonych zdarzeń. Myślę, że „Sława i chwała” jest powieścią, z której można było zrobić właśnie taki tradycyjny rodzinny serial, który miałby wszelkie szanse zadobycić większość widzów.

Czteroczęściowe widowisko teatralne niestety zawiodło, nie udało się ukazać panoramy losów trzech pokoleń Polaków w ciągu czterech poniedziałkowych wieczorów; przelicząc inaczej — nie sposób było zawrzeć trzydziestu niemal lat w sześciu godzinach. Nie pomogło zredukowanie czasu akcji do lat 1918—1944, nie pomogło eksponowanie, zamierzone, choć niewykonane, czterech głównych bohaterów, całość wyszła bardzo zamazana i uproszczona, a dla kogoś nie znającego ksiądzki, wręcz niezrozumiała.

Lidia Zamkow skomponowała bowiem cały szereg scen i obrazków, z których jedne były lepsze, inne słabsze, jedne oddawały właściwy klimat i atmosferę określonych zdarzeń, inne nie, jedne były wartościowe i żywe, inne wolne i nudne. Nie zawsze jedna scena łączyła się z drugą w sposób dla widza zrozumiały, nie zawsze można się było zorientować w całym konglomeracie spraw rodzinnych i narodowych.

Najbardziej swarta, zrozumiała i pełna była dla mnie część ostatnia — „Epilog i dalsze ciągi”, obejmująca okres okupacji i Powstanie Warszawskie. Tu, w moim przekonaniu, udało się reżyserowi najlepiej przekazać atmosferę, klimat i nastroje tamtych lat, umiejętnie dobrać

wzrastające ciągle napięcie, a poprzez postać Andrzeja Gołąbka, który stał się bohaterem nr 3, a więc tym nie zamierzonym, powiązać wszystko w jedną całość.

Ten obraz wrzoków także bardzo fragmentaryczny, był jakas pancerzą naszą wojenną epopei, pokazując różnych ludzi, różne racje i przekonania, różne siły walczące. Bardzo mocny był akord finałny (nie tylko w sensie muzycznym, wrzoków warto podkreślić istotną funkcję muzyki w tej właśnie części), gdzie, na podobieństwo antycznej tragedii, nasi bohaterowie pojawiają się jak cienie na tle archiwalnych zdjęć z Powstania i giną. Bezlitosna śmierć kończy lata „Sławy i chwały”, losy jednostek wtopione mocno w historię dopełniły się, bohaterowie odeszli w przeszłość, ale przecież nie bez śladu, pozostała integralną częścią naszej narodowej tradycji, będą świadczą o tym, że pokolenia mijają, ale pozostają po nich pewne wartości ciągłe, trwałe.

O stronie aktorskiej tego widowiska napisać by można bardzo wiele, ponieważ była ona niewątpliwie najmocniejszą jego stroną — był to co się zowie spektakl gwiazdorski, wystarczy wymienić choćby Zofię Małyńczuk, Aleksandrę Słuską, Józefa Durlasza, Leszka Herdegen, Gustawa Lutkiewicza itd. Ja jednak chciałabym zwrócić uwagę szczególnie na kreację Olgiera Łukaszczyka, owego bohatera części IV, przedstawiciela wojennego pokolenia, urzekającego głębią przeszłości i prostotą, bardzo ciepłego i bardzo wręczliwego, a przede wszystkim autentycznie młodego.

DANUTA WERNIC

## BEZ SŁAWY I BEZ CHWAŁY

PRZENOSZENIE wielkiej powieści na ekran duży czy mały było i jest zabiegiem dość ryzykownym. Niemniej w chwili obecnej nie jest to zabieg, który można byłoby porównać z odkrywaniem Ameryki. Oczywiście, niebezpieczeństwa wciąż się zawsze. Z grubsza jednak wiadomo, czego należy się wystrzeżać, na jaki gatunek widowiska najlepiej taką powieść adaptować, aby stanowiło ono integralną całość, a także żeby podczas takiego zabiegu i powieść zbyt nie ucierpiała.

W każdym bądź razie faktem dostatecznie znanym jest, że najlepiej się powieść adaptuje na duży film fabularny — nawet kilkurobowy — lub filmowy serial telewizyjny. Wtedy najwięcej ze specyfiki powieści można ocalić.

Tymczasem u nas jedni podejmują, a inni wyrażają zgodę na podjęcie eksperymentów, które nie są żadnymi eksperymentami — skoro mieściłyby się na etapie rozwoju naszej telewizji sprzed dziesięciu laty — z góry natomiast można przewidzieć, że okazały się wielkim niewypałem. Do takich zaliczam pomysły Lidii Zamkow, aby „przełotnie” „Sławę i chwałę” Iwaszkiewicza na czterech odcinkach teatru telewizyjnego. Jest sama konwencja teatru telewizyjnego nakłada pewne ograniczenia, ko-

na przecież z ciekawych i oryginalnych pomysłów. Popelnione przez nią błędy koncepcyjne spowodowały, że dosyć często zdarzało się jej wahać między pretensjonalnością a becharwnością. W dodatku poszczególne odcinki były bardzo niejednorodne. Ale to już jest mniej ważne. Ważne, że niewiele zostało z Iwaszkiewicza, że zagubiono atmosferę jego światów i jego prozy.

Szkoda, że dopuszczono do zmarnowania tak znakomitego materiału literackiego, jakim jest „Sława i chwała”. Skoro nie potrącono się zdobyć na uczciwy serial telewizyjny lub film, trzeba było tę powieść zostawić w spokoju. Chociaż właśnie taki serial byłby potrzebny w roku Trzydziestolecia, zamiast karuzeli widzów czymś w rodzaju „Doktor Kwy”.

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

## EPIKA W PUDEŁKU

NAJWIĘKSZYM walcem telewizyjnej „Sławy i chwały” Lidii Zamkow jest to, że wielu spośród widzów odesła ona po raz pierwszy lub kolejny do oryginału — powieści Iwaszkiewicza. Nie puszczę tego bynajmniej ze zjadliwym intencjami, czterdziestodniowy spektakl był interesujący, wiele dobrego można by powiedzieć o jego aktorstwie. Ale mówiąc o przeczytaniu stwierdzić trzeba, że zabrakło mu czegoś najważniejszego. Epika okrojona, rozmieniona na odcinki, sączona przez cztery tygodnie, przestała być po prostu epiką. Zginęła gdzieś najważniejsza w tym rodzaju literackim poczucie upływu czasu, ewolucji ludzkich charakterów. Powieść Iwaszkiewicza przeniesiona na ekran domowy stała się jednowymiarowa, także w jakimś sensie jednoznaczna. Zbyt wiele w niej na użytek widza popuszczano. Słowem — zabrakło tej adaptacji epickiego ducha.

Stwierdzając to nie chcę mówić o braku wierności oryginałowi, nieumiejętności przekazania bogactwa powieści Iwaszkiewicza. Pragnę powiedzieć o sprawie bardzo prozaicznej, usytuowanej na niższym piętrze rowań. Otóż kiedy oglądam liczne ostatnio adaptacje telewizyjne, coraz częściej przychodzi mi na myśl pytanie: czy naprawdę wszystko da się zaadaptować, czy nie istnieją powieści, których przeniesienie na ekran jest po prostu niemożliwe? Telewizja, o czym się często zapomina, to forma przekazu bardzo jeszcze młoda i niedoświadczona. Z pewnym natężeniem serwuje nam coraz częściej klasyczne dania przygotowane tylko gorliwie, co nieumiejętnie. Ten brak umiejętności wynika z czynników obiektywnych. Telewizja znajduje się, jeśli chodzi o formy przekazu artystycznego, w stadium embrionalnym. By powiedzieć wszystko wyraźnie — nie dorosła ona jeszcze (w przeciwieństwie do kina) do przenoszenia na ekran pewnego rodzaju prozy. Adaptacja „Sławy i chwały” była wyraźnym tego dowodem.

JANUSZ ZATORSKI



Anna Seniuk (Hanka Wolska) i Leszek Herdegen (br. Muzryski) w telewizyjnym spektaklu „Sławy i chwały”.

niezręczność osiągnięcia większej swobody niż w świecie normalnym. A tu w dodatku jeszcze konieczność ujmowania w takie ciasne ramy rozległego tworzywa powieściowego.

Co z tego wyszło? Ano, wszyscy widzieliśmy. Ale żeby rzecz bliżej wyjaśnić, muszę wrócić do swolch studenckich lat podmiasteczka. Otóż rzeczą jak najsurowiej dla studentów polonistyki zakazaną jest korzystanie z tzw. bryków, czyli bardzo skrótowych streszczeń. Uważa się bowiem, nie bez racji, że korzystanie z bryków wyrządza studentom szkody nie do odrobienia, wypacza obraz literatury. Szkoda jednak, iż czegoś nie wolno na uniwersytecie, wolno w telewizji.

Owe błędy koncepcyjne było widać wyraźnie, począwszy od pierwszego odcinka, gdzie najpełniej uwiarydowiło się niedopasowanie konwencji teatru telewizyjnego do przedstawianej rzeczywistości. Herdegen nerwowo typujący ołkiem w stronę kamery przy stole siada, nie mogąc zdecydować się na bardziej określona konwencję gry, chociaż to przecież znakomity aktor.

Najgorzej w tym wszystkim czuła się chyba sama Lidia Zamkow, zna-